

Agnieszka Hałas

*Kłopot barona
Hoogstratena*

AGNIESZKA HAŁAS
KŁOPOT BARONA HOOGSTRATENA
Wydawnictwo RW2010 Poznań 2012
Redakcja techniczna zespół RW2010
Copyright © Agnieszka Hałas 2012
Okładka Copyright © Agnieszka Hałas 2012

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: www.marketing@rw2010
Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.p

Utwór bezpłatny,
z prawem do kopiowania i powielania, w niezmienionej formie i treści,
bez zgody na czerpanie korzyści majątkowych z jego udostępniania.

1.

– Tędy, panie Rorick. Zapraszam.

Gruby właściciel menażerii prowadził klienta, wytwornie odzianego szlachcica, przejściem między dwoma rzędami klatek. Uwięzione stworzenia – zmory, harpie, barwne zamorskie ptaki – skrzeczały, skwirzyły i łopotały skrzydłami.

– Tu ich trzymam. Niech tylko otworzę...

Namozoliwszy się z kłódką, grubas pchnął okute drzwi. Ciasne pomieszczenie wypełniał trudny do opisanego zaduch; na ziemi wały się kości, ochłapy i odchody. Pod ścianą majaczyły skulone sylwetki.

– Tak wyglądają najciekawsze egzemplarze, jakie masz do zaoferowania, Jepho?

– W głosie Roricka dał się słyszeć sceptycyzm.

– Dobrze prawicie – potwierdził Jepho, unosząc latarnię. – Oto, dla przykładu, Szakłak. Pochodzi z puszczy dalekiego Południa.

Podobne do małpy stworzenie o czarnym futrze spojrzało na nich lękliwie. Jego szyję otaczała obroża, do której umocowany był łańcuch zaczepiony o wbite w ścianę kółko.

– Umie zaklinać wzrokiem węże i ptaki. Jalash... – grubas wskazał siedzącą obok Szakłaka istotę o szarej skórze i włosach przypominających naręcze gałązek – to półkrwi żywiolak ziemi...

Oczy Jalash wyglądały jak dwa kuliste szmaragdy. Patrzyła nimi obojętnie w przestrzeń.

– Co potrafi?

– Żebym tak zdrow był, panie Rorick! To niemowa, ale raz w miesiącu, gdy księżyc jest w pełni, zaczyna śpiewać. A jeśli dać jej wtenczas do ręki suchą gałąź, czy jakiś bądź kawał drewna, natychmiast okryje się ono liśćmi i zakwitnie...

– Hm! – Szlachcic z namysłem pogładził brodę. – No dobrze, a kogóż tu mamy?

– Czubkiem buta trącił zwinięte w kłębek stworzonko, pokryte kolorowymi łuskami.

– Aaa, to moje maleństwo zakupione od piratów nad Morzem Syrenim. Zwie się Goryczka. Uważajcie, panie; jej skóra wydziela truciznę, której kropla wystarczy, by na długo pozbawić was wzroku. Lecz nie widzieliście jeszcze chluby mej menażerii. Za Zbója właściciele szkoły gladiatorów w Othlonie dawali mi swego czasu... ech, nieważne ile. Wam byłbym gotów go sprzedać za jedyne sześć tysięcy leri.

– Sześć tysięcy? – Rorick zagwizdał. – Chybaś rozum postradał, Jepho.

– Raczcie choć rzucić na niego okiem. Zbój! – Grubas odstawił latarnię i klasnął w rękę. Potężny odmieniec podniósł się wolno, pobrzękując łańcuchami. Mierzył dobre siedem stóp; musiał się pochylić, żeby nie uderzyć głową o sufit budy. Mimo chłodu odziany był jedynie w przepaskę na biodrach. Pod sinawą, pozbawioną pigmentu skórą przeżyły się mięśnie, jakich nie widuje się nawet u zapaśników. Jednak nieproporcjonalnie mała czaszka i cofnięte czoło mówiły same za siebie.

– Unieś ramię, Zbój! Pokaż wielmożnemu panu biceps!

Odmieniec powoli, jak przez sen wykonał polecenie.

– Spójrzcie na jego klatkę piersiową, panie. Obmacajcie plecy, uda. On jest niczym żywy głaz...

– Szkoda tylko, że ma akurat tyle rozumu, co głaz. – Szlachcic pogardliwie pociągnął nosem. – Smród w tej budzie zaczyna mi działać na nerwy, Jepho. Czy w twojej kolekcji są jeszcze jakieś interesujące okazy?

– Jest ona. – Grubas pstryknął palcami w kierunku postaci siedzącej w kącie.

– Jak się wabi?

– Księżniczka.

Mimo plugawego otoczenia, mimo brudu, który pokrywał jej odzież i ciało, poza Księżniczki tchnęła nieuchwytnym dostojeństwem. Szlachcic uważnie przyjrzał się istocie. Miała ciało filigranowej dziewczyny, grzywę pozlepianych włosów o trudnej do stwierdzenia barwie i dziwną, zdeformowaną twarz o spiczastych uszach. Szarawe, jakby wyblakłe oczy bez lęku odwzajemniły jego spojrzenie.

– Co to za jedna?

– Prawdę rzekłszy, sam nie wiem. Przybłąkała się do nas przed miesiącem. Półżywa z głodu była, z nogami w ranach. Nie opierała się, gdym jej obrożę nałożył. Je to samo co reszta, posłuszna jest, jeszcze jej ani razu batem nie tknął.

– Umie mówić?

– Rozumie ludzką mowę. Słucha poleceń. Nigdy nie słyszałem, by przemówiła, ale – grubas uniósł palec – nie dałbym głowy, że nie potrafi. Wiecie, z odmieńcami nigdy nic nie wiadomo.

– Ciekawe, ciekawe... – Rorick z założonymi do tyłu rękami przechadzał się tam i z powrotem. Nagle przystanął. – Ubijmy interes, Jepho. Pięćset leri gotówką za tę twoją Księżniczkę. Co ty na to?

– Panie... – Grubas rozpromienił się, jak każdy chytrus, kiedy zwietrzy okazję. – Sprzedam ją wam, ale za czterykroć tyle!

Po targach stanęło na tysiącu.

2.

Porcelanowa małpka, potracona nieostrożnym ruchem miotelki, spadła ze stolika na podłogę. Z łatwym do przewidzenia skutkiem.

Młodziutka służąca zbladła. Zerknęła w stronę uchylonych drzwi do gabinetu, na roztrzaskaną ozdobę, na człowieka w czarnym odzieniu, który czekał tu ze sprawą do jej chlebodawcy, potem znowu na drzwi, w których nikt jeszcze się nie pojawił; widocznie nie usłyszeli brzęku.

Żmijowi zrobiło się jej żal. Znając gust Hoogstratena, brzydki staroświecki bibelot wart był prawdopodobnie więcej, niż to dziecko zarabiałoby przez cały rok.

– Mogę? – Nie czekając na odpowiedź, odsunął małą i ukląkł. Płynny ruch dłoni wystarczył, by odłamki poderwały się i z cichym trzaskiem zespoliły w pierwotny kształt. Krzyczący w Ciemności podniósł wzrok i uśmiechnął się lekko; na tyle

lekko, by był to rzeczywiście uśmiech, a nie grymas przeciętej bliznami twarzy.

– Proszę. – Wręczył dziewczynie nieuszkodzoną figurkę. Wzięła z ociąganiem. Odstawiła małąkę na miejsce i niezgrabnie dygnęła, dziękując. Nagle zaczerwieniła się i uciekła, furknąwszy halkami.

W drzwiach gabinetu ukazał się przysadzisty mężczyzna w niebieskim kaftanie – Mathias, sekretarz Hoogstratena.

– Wejdźcie, panie – zaprosił, wyraźnie zaaferowany. Trzęsły mu się ręce.

W niewielkim, lecz luksusowo urządzonym gabinecie na pokrytych zielonym obiciem ścianach wisiały tylko dwa obrazy – duże pejzaże w pozłacanych ramach. Baron nie siedział za biurkiem, lecz w fotelu przed kominkiem, głaszcząc ulubionego charta.

– Zabierz psa, Mathias – polecił, bo zwierzę zdradzało oznaki niepokoju. Gdy przeprowadzano go obok żmija, chart zaskomlał, kładąc uszy po sobie.

Hoogstraten oficjalnie był po prostu posiadaczem znacznej fortuny, kolekcjonerem dzieł sztuki i mecenasem artystów. Nieoficjalnie – funkcjonował w Orhosti jako marionetka Synów Tarantuli, potężnej organizacji przestępczej. Jego rękami wyczyszczono niejedną skrzynię brudnych dukatów.

– Panie Hoogstraten, tu są specyfiki, które pan zamawiał. – Krzyczący w Ciemności postawił na biurku dwa gliniane dzbanuszki, zapieczętowane woskiem. – Proszę ostrzec zainteresowanych, że nieostrożne obchodzenie się z nimi naraża na przykre skutki. Zdrowy człowiek, który dotknie gołą ręką lamparciej maści, nabawi się płam i krost, zaś jaszczurcza wywołuje gorączkę.

Sekretarz wrócił i stanął obok. Za blisko. Śmierdział potem i olejkami, którymi z uporem godnym lepszej sprawy namaszczał przerzedzające się włosy. Mankiety jak zwykle miał upaprane atramentem. Żmij po raz kolejny zadał sobie pytanie, jak to możliwe, że esteta Hoogstraten toleruje przy swoim boku tego niechluj.

– Mathias, weź te smarowidła i zamknij, wiesz gdzie – polecił baron. Krzyczący

odprowadził sekretarza wzrokiem, zastanawiając się, dla kogo specyfiki są przeznaczone. Lamparcia i jaszczurcza maść, sporządzone według starożytnego nedgvarskiego przepisu, choć same w sobie były trujące, użyte łącznie mogły wyleczyć kilka paskudnych schorzeń, w tym trąd.

– Chłopcze, chcę z tobą zamienić jeszcze słówko – odezwał się Hoogstraten.

– Oczywiście.

Baron splótł palce i zmierzył zmija przenikliwym spojrzeniem.

– Brune, wychwalano mi cię pod niebiosa. Twoja wiedza i zdolności istotnie budzą podziw. Mam zlecenie, za które, jeśli zgodzisz się je wykonać, zapłacę z własnej szkatuły.

– Jakież szczegóły?

– Trzeba zlikwidować pewną osobę. Stanowi dla mnie zagrożenie. Szczegóły podam, jeśli potwierdzisz, że się zgadzasz.

– Uprzedzałem – powiedział wolno Krzyczący. – Uprzedzałem, że nie będę się angażował dla Tarantuli w takie sprawy. Mogę sporządzić dla pana amulet adekwatny do rodzaju niebezpieczeństwa albo zadbać o inną formę magicznej ochrony.

– Nie dla Tarantuli, Brune. Powiedziałem wyraźnie: zapłacę z własnej szkatuły. I nie interesują mnie żadne zaklęcia ochronne. Problem trzeba rozwiązać raz na zawsze.

– Jeśli to prywatna sprawa, tym bardziej mi przykro. Nie zabijam na zlecenie. Zresztą o czym mowa? Od takich rzeczy macie w Tarantuli fachowców na tuziny, a i poza Tarantulą nietrudno ich znaleźć.

– Lubisz mieć czyste ręce, co? – Hoogstraten uśmiechnął się, a Krzyczący, wyczuwając jego emocje, spiął się nagle. – Ciekawe, jak skomentujesz informację, która dotarła do mnie dziś rano...

– To znaczy?

– W trzcinach nad rzeką znaleziono zwłoki bezdomnej. Na szyi miała ślady

duszenia, zginęła od ciosu nożem. Jej losem nikt się nie przejmie, ot, o jedną żebraczkę mniej, cóż to znaczy. Ale fakt pozostaje faktem. Zapominasz się, chłopcze, tylko patrzeć, jak ściągniesz na siebie uwagę srebrnych.

Zamilkł, widząc, że źrenice rozmówcy zaczynają lśnić żółto. Wymownie obrócił w rękę pozłacany sznur od dzwonka.

Bez sensu, człowieku. Ciebie w każdym wypadku zdążyłbym zabić. Niestety, baron nie miał nawet śladowych zdolności telepatii, więc myśli Krzyczącego trafiały w próżnię, podczas gdy Hoogstraten mówił dalej.

– Kiedy cię wynajmowałem, mówiono mi, że jesteś nie do końca poczytalny, ale to... Coś mi mówi, że zaczynasz tracić kontrolę nad darem, z samej litości powinienem cię wydać w ręce prawa.

Żmij utkwiał w nim pozbawione wyrazu spojrzenie i nagle Hoogstraten opadł na fotel, walcząc o oddech. Jego twarz posiniała.

Atak trwał kilka sekund, potem baron oklapł, dysząc i rozcierając szyję. Nawet nie próbował dzwonić po służbę.

Krzyczący w Ciemności leciutko się uśmiechnął.

– Zapłata, panie Hoogstraten, a o tym, co właśnie usłyszałem, zapomnimy obaj. Umowa stoi?

Unikając jego wzroku, baron wyjął z szuflady biurka sakiewkę, rzucił ją na blat.

– Bierz i wynoś się.

* * *

Gościniec, jak okiem sięgnąć, był pusty. I dobrze.

Jeśli się dało, Krzyczący w Ciemności starał się unikać blasku słońca, od którego szramy na policzku paliły, a twarz krzywiła się w tiku. Tego dnia niebo było zachmurzone, mógł więc swobodnie odrzucić do tyłu kaptur.

Droga biegła wzdłuż rzeki, za którą ciemniały zalesione wzgórza. Na szczycie

najbliższego można było dostrzec skupisko budowli, częściowo zasłoniętych przez drzewa. Pomimo odległości Brune bez trudu wyczuwał skupiające się w tamtym punkcie prądy mocy. Srebrni magowie, Elita. W niezbyt gęsto zaludnionej okolicy mogłoby ich zaalarmować echo teleportacji. Dlatego wołał oddalić się z Orhosti piechotą.

Skrzywił się ironicznie, gdy jego wzrok padł na szubienicę stojącą na stoku powyżej miejsca, gdzie z gościńcem łączyła się dróżka, prowadząca zapewne do pobliskiej wioski. Do słupa przybito drewnianą tablicę z wymalowanym na biało pentagramem. Zatem wykonywano tutaj wyroki wydane przez srebrnych. Równocześnie Synowie Tarantuli bez przeszkód funkcjonowali w Orhosti, pod samym nosem Elity. Z drugiej strony nie prowadzili tu działalności jawnie przestępczej, a tylko taką w jedwabnych rękawiczkach – pranie pieniędzy i pociąganie za sznurki.

Z zamyślenia wyrwało zmija drgnienie aury. Zesztywniał, widząc, że powietrze pod szubienicą faluje jakby pod wpływem gorąca. Po chwili w tym miejscu zmaterializowała się postać.

Spasiony odmieniec o białej skórze i czerwonych ślepiach, w eleganckim szkarłatnym kaftanie, płudrach i pończochach. Z fizjonomii przypominał upiorne prosię z piekła rodem.

– Dzień dobry, mistrzu – zachrypiał tonem pasującym do wyglądu.

Pierwsze, co Krzyżącemu przemknęło przez myśl, to że Hoogstraten postanowił jednak nie puścić mu zniewagi płazem.

Przywołał moc i zbliżył się, czujny, gotów zareagować na każdy podejrzany ruch. Ale upiorny prosiakowaty nie miał wyczuwalnych złych intencji.

– Obawiam się, że muszę was poprosić, byście się udali ze mną – kontynuował. Uniósł dłoń, by zademonstrować ciężki srebrny pierścień z onyksami.

Brune rozpoznał aurę przedmiotu. Talizman umożliwiający komuś

pozbawionemu zdolności magicznych przenoszenie się w przestrzeni. Stary i niewątpliwie kosztowny.

– Czemuż to?

– Jak powiadają w Chalkirze: gdy żaba śpiewa, nie noś wełnianego płaszcza.

Hasło. Znaczyło, że któryś z pracujących dla organizacji czarnych magów potrzebuje pomocy innego *ka-ira*.

– Kto? – zapytał krótko żmij.

– Moja pani, wasza siostra w mocy, Isabei Rhis.

Znał to nazwisko, choć wyłącznie ze słyszenia.

– Nie jestem Synem Tarantuli – przypomniał chłodno.

– Współpracujecie. A hasło obowiązuje każdego, kto je zna.

Krzyczący zmrużył oczy. Jego źrenice zmieniły się w rozjarzone punkciki. Prosiakowaty nie stracił spokoju.

Nawet ludzie obdarzeni żelaznymi nerwami nie potrafili się idealnie kamuflować w obecności *ka-ira*; zewnętrzne pozory to jedno, a myśli drugie. Jeśli wezwanie kryło zasadzkę, wysłannik nic o tym nie wiedział.

– Dobrze – powiedział powoli żmij. – Z tym, że jeśli mam się teleportować, muszę wiedzieć dokąd.

– Nie trzeba. Pierścień przeniesie i was.

* * *

Gdy odmieniec potarł talizman, otoczyło ich błękitne światło, a w następnej chwili zamiast trawy mieli pod nogami lśniący parkiet. Brune bez entuzjazmu obrzucił wzrokiem bogato urządzone wnętrze saloniku. W zasadzie, jak się zreflektował, wystarczyło popatrzeć na ubiór wysłannika, żeby wyciągnąć wnioski.

Nagle zeszywniał. Na otomanie wśród poduszek leżała harpia o piórach koloru nocy, w złotej obroży. Oglądała sobie szpony, nie zaszczycając przybyszy nawet

spojrzeniem.

– Cieszę się, że zechciałeś przybyć, starszy bracie – rozległ się aksamitny głos.

Zza stojącego w rogu parawanu wyłoniła się dama o pełnych kształtach i upudrowanych włosach. Jej rysy niknęły pod niemal teatralnym makijażem na dworską modłę. Żmija zaskoczyło i zbiło z tropu to, że nie wyczuł od razu jej obecności. Potem zwrócił uwagę na wisiołek na jej szyi – trzy rubiny oprawione w złoto. Amulet tłumiący aurę.

Chyba lubisz takie zabawki, pomyślał. On sam niechętnie korzystał z amuletów, bo zawsze miały jakieś działania uboczne. Były dobre, ale dla dyletantów oraz pozbawionych daru.

– Jestem Isabei Rhis – przedstawiła się. Kąciki umalowanych na karminowo ust drgnęły w symbolicznym uśmiechu.

Krzyczący skłonił się, oszczędnie i sztywno.

– Ściągnięcie mnie tutaj z zaskoczenia nie było uprzejme.

– Proszę o wybaczenie. – Zbliżyła się, szeleszcząc bordową, przesadnie strojną suknią. – Usiądź.

Przypatrując się jej, utwierdził się w słuszności swoich podejrzeń. Nie była *ka-ira*, wbrew temu, co deklarował jej sługa. Mogła sporo wiedzieć na temat Sztuki, ale czarną moc albo się posiadało, albo nie. Z bliska aura Isabei wskazywała jednoznacznie na to drugie. Niemniej, w tej wypacykowanej, z pozoru niegroźnej elegantce było coś... dziwnego. Coś nieprzyjemnego, czego Krzyczący nie umiał na razie sprecyzować.

Zajął wskazane mu miejsce w fotelu. Isabei usiadła na otomanie. Harpia przeciągnęła się z pomrukiem i wyciągnęła spiczastouchy łeb ku swojej pani. Ta poskrobała ją po podgardlu.

– Morszczuk, przynieś nam wina – zwróciła się do odmieńca.

Żmij raz jeszcze rozejrzał się po saloniku. Jego uwagę zwróciły zaciągnięte

zasłony w oknach.

– Z czystej ciekawości, gdzie właściwie jestem? – zapytał.

– W miejscu, gdzie przyjmuję interesantów. Przykro mi, ale jego lokalizacja jest tajna nawet dla członków organizacji.

– Nie przybyłem tu jako petent, młodsza siostrze – uznał za stosowne przypomnieć. – Ale w porządku. Ta wiedza nie jest mi niezbędna do szczęścia.

Odmieniec pojawił się z tacą. Odkorkował butelkę i rozlał złotawe wino do kieliszków z rżniętego kryształu, po czym cofnął się w kąt i zastygł tam niczym korpulentna statua.

– Dlaczego ja? – podjął żmij, patrząc uważnie na Isabei. Odpowiedź nie interesowała go aż tak bardzo. Chciał po prostu przez chwilę poobserwować rozmówczynię.

Spokojnie odwzajemniła jego spojrzenie. Oczy miała blade, jakby wypłukane z koloru. Chłodne, bez wyrazu.

– Brune. Mogę tak się do ciebie zwracać? Współpracujesz z Tarantulą od pół roku, słyszałam o tobie dość, by sobie wyrobić opinię.

– Od kogo?

– Od barona Hoogstratena z Orhosti. Między innymi.

Brune podniósł kieliszek i nieufnie powąchał wino. Gdyby było zatrute, dar powinien go ostrzec, ale istniały sposoby, żeby zmylić zmysły maga.

– Byłem zmuszony dzisiaj odmówić baronowi, gdy poprosił mnie o prywatną przysługę. Mam nadzieję, że nie chodzi o tę samą sprawę.

– Obawiam się, że nie mogę ci tego zagwarantować, starszy bracie – odrzekła Isabei jeszcze aksamitniej niż przedtem. – Proszę jednak, żebyś zechciał mnie wysłuchać. Znając Hoogstratena, nie podał ci szczegółów.

– Nie podał. Zamieniam się w słuch, młodsza siostrze.

– Zaczniemy od tego, że nasz przyjaciel baron ma... Jak to ująć? Specyficzne

zainteresowania. Nie mam na myśli kolekcjonowania obrazów. – Upiła łyk wina i uśmiechnęła się złośliwie. – Był żonaty, ale cztery lata temu małżonka rozwiodła się z nim w majestacie prawa, a to wiele mówi, prawda?

– W istocie – potwierdził Krzyczący. Sugestia, że Hoogstraten oddawał się jakimś perwersyjnym praktykom, nie zaskoczyła go. Wśród bogaczy takie rzeczy zdarzały się dość często.

– Baron lubi odmianki – kontynuowała rzeczowo Isabei. – Razem z kilkoma innymi koneserami założyli nieformalny klub i przekazują sobie nawzajem najciekawsze, hm, okazy, jakie uda im się zdobyć. Jakiś czas temu w ręce Hoogstratena trafiło stworzenie nabyte, jeśli dobrze się orientuję, od właściciela objazdowego teatrzyku dziwolągów. Baron trzyma je w swojej rezydencji, nie afiszując się z tym, i traktuje po prostu jak kolejną zabawkę. Dowcip, mój drogi, polega na tym, że ta zabawka różni się od wszystkich poprzednich.

Zawiesiła głos. Żmij powstrzymał się przed zadaniem oczywistego pytania. Wpatrywał się w Isabei, starając się wnikać w jej emocje, jej myśli, które pozornie nie budziły podejrzeń.

Coś mu się w niej nie podobało. Jak cholera. I bynajmniej nie chodziło o makijaż czy ubiór.

– Jest niebezpieczna – dokończyła kobieta. – Nawet bardzo.

– Bardziej niż ta piękność tutaj? – Brune wskazał harpię, która zwinęła się w kłębek na poduszkach i wydawała się drzemać. – Nie została pozbawiona gruczołów jadowych, prawda?

– Nie – potwierdziła chłodno Isabei. – Wytresowałam ją jak psa, ukąsi każdego, kto spróbowałby mnie zaatakować. Petenci miewają... różne pomysły. A wracając do tematu, owszem. Hoogstraten, nie wiedząc o tym, trzyma pod swoim dachem demona Otchłani, którego w ciele odmianki uwięził najprawdopodobniej jakiś mag.

– Skąd wiesz o tym wszystkim, młodsza siostró?

– Widziałam ją. Hoogstraten wezwał mnie trzy dni temu, żebym potajemnie udzieliła jego pupilce pomocy. Śmiertelne ciało nie jest w stanie długo służyć jako powłoka dla demona, szybko zaczyna chorować i słabnąć.

Brune zapatrzył się na nietknięte wino w swoim kieliszku.

Lamparcia i jaszczurcza maść, co? Hoogstraten złożył u mnie zamówienie przed trzema dniami.

Ale czuł, że kawałki układanki tylko pozornie do siebie pasują, a pod wszystkim kryje się coś więcej.

Zacznijmy od tego, że Hoogstraten nie wzywałby cię do ratowania chorej zabaweczki i nie zamawiałby u mnie drogich specyfików w tym samym celu. Prędzej uwierzę, że kazałby ją humanitarnie walnąć w głowę i spalić ciało. Po drugie, gdyby Hoogstraten potrzebował maści dla kogoś ze swojego otoczenia, poprosiłby mnie o wskazówki w kwestii dawkowania, bo sam się na tym przecież nie zna.

– Ciało tej odmianki było silne, ale nie wytrzyma już długo – kontynuowała tymczasem Isabei. – Kiedy umrze, demon się wydostanie. I zacznie zabijać. Będzie głodny po tygodniach czy miesiącach uwięzienia. Trzeba wcześniej zrobić z nim porządek. Jeśli zgodzisz się tym zająć, jako zapłatę dostaniesz... to.

Z półki nad sekretarzykiem zdjęła szkatułkę, którą pokrywały wypalone w drewnie symbole. Wyjęła z niej naszyjnik z pereł i białego złota.

– Należał do pewnej kobiety, która niedawno naraziła się Tarantuli. Umarła, mając go na szyi. Proszę, obejrzyj go z bliska.

Podsunęła Krzyczącemu ozdobę. Niepotrzebnie; to, co miał poczuć, czuł z daleka.

Zwalczył chęć, żeby dotknąć pereł. Czerń wzbudzała w nim instynktowny głód, tak jak psa mógłby kusić zapach mięsa. Bizuteria skutecznie łąpała aurę, skuteczniej niż tkaniny. Właścicielka naszyjnika musiała umierać długo i boleśnie.

– Efektowny – ocenił chłodno żmij. – Ale czemu sama się tym nie zajmiesz,

młodsza siostrze? Oszczędzając fundusze organizacji?

– Nie kpij – odparła. – Wiesz, że to wyzwanie nie na moje siły.

– A czemu tak ci leży na sercu zdrowie i życie barona?

– Tarantula potrzebuje Hoogstratena. Gdyby zginął w związku z tak głupią sprawą, odczułabym skutki, możesz być tego pewien.

Oboje drgnęli, kiedy wiszący na ścianie zegar w mahoniowej obudowie wydzwonił dwunastą.

– Za pół godziny mam umówione spotkanie, starszy bracie – oznajmiła Isabei. – Obawiam się, że musimy się niebawem żegnać. Czy mogę liczyć na twoją pomoc?

Brune znowu wbił wzrok w jej umalowane oblicze, starając się dociec, co kryje się za pozornie nienaganną fasadą.

Powiadasz, że Hoogstraten nie wie, co trzyma pod swoim dachem, ale Hoogstraten chciał, żebym cię zabił, bo poznałaś jego sekret? Próbowalaś go szantażować? A może to wcale nie o ciebie mu chodziło?

Mimo woli zwrócił uwagę, że gruba warstwa bielidła pokrywa nie tylko twarz Isabei, ale również jej szyję i dekolt. Nie dodawało to fałszywej magini uroku. Nie była ani piękna, ani zgrabna – jej figurę ratował wyłącznie sztywno zasnurowany gorset. Ale to nie tłumaczyło, czemu patrząc na nią, Krzyczący czuł lodowaty niepokój. Taki sam, jaki budziła w nim harpia.

Wsunął dłoń do kieszeni, żeby dotknąć schowanych tam kart. Nie musiał sprawdzać, co mówią, żeby wiedzieć. Niemniej, zdecydował się kontynuować grę.

– Zgoda, młodszsiostrze. Zrobię, co w mojej mocy, żeby uchronić barona przed konsekwencjami niemądrych decyzji. – Wstał. – Wracam do Orchosti. Skontaktuję się z tobą, gdy będę miał jakieś wieści do przekazania.

– Doskonale. Morszczuk zabierze cię z powrotem.

– Nie trzeba. Poradzę sobie.

Isabei patrzyła na niego uważnie.

– Zaczekaj – powiedziała nagle. – Mogę?...

Nie czekając na odpowiedź, wyciągnęła dłoń, żeby dotknąć jego pokiereszowanego policzka.

Czas jakby zwolnił. Krzyczący odniósł wrażenie, że rzeczywistość odpływa. Zawisł w rozciągającej się chwili między jednym a drugim tyknięciem zegara. Istniały tylko zimne palce Isabei i jej szarawe, pozbawione wyrazu oczy jak dwie marmurowe kulki. Potem dziwne uczucie prysło. Otrząsnął się i cofnął.

– Nie rób tego więcej – powiedział, zaskoczony, że mówi to z takim spokojem.

Spuściła głowę.

– Wybacz. Sam wiesz...

Wiedział. Wiedział, jak silnie jego szramy emanują czernią. Ale Isabei, która nie miała w sobie choćby uncji talentu, nawet tyle, żeby siłą woli przesunąć łyżeczkę po stole, przenigdy nie powinna tego wyczuć.

Z niewzruszoną miną Brune pożegnał się uprzejmie, jakby nic się nie stało.

3.

Isabei Rhis kłamała. Krzyczący wołał założyć, że kłamała od początku do końca, i postanowił działać po swojemu.

Wrócił do Orhosti. Ale nie po to, żeby spenetrować rezydencję barona. Wszystko w swoim czasie.

W pierwszej kolejności wybrał się nad rzekę. Orhosti, niepozorne, niewyróżniające się miasteczko, leżało na wzgórzu, natomiast teren położony nad wodą, regularnie zalewany co wiosnę, pozbawiony był chat. Przy brzegu stało kilka zacumowanych tratw, a dym wznoszący się z nad trzciny wskazywał, gdzie obozują flisacy.

Schodząc z wału chroniącego położone dalej pola, Brune zawahał się. Nieskoszone łąki i porośnięte szczawiem mokradła nie wyglądały zachęcająco, ale

miał buty z cholewami. Na wszelki wypadek spowłó się tylko iluzją. Po co ktoś ma się zainteresować, czemu obcy ekscentryk spaceruje nad rzeką, i donieść baronowi.

Pora była kiepska, żmij znacznie lepiej czułby się tu nocą. Słońce, nawet ukryte za chmurami, przeszkadzało mu.

Przystanął w cieniu samotnej wierzby, zamknął oczy i skupił się, badając otoczenie zmysłami maga. Gdy zyskał pewność, że w pobliżu nie ma ludzi, odpłynął głębiej w trans, wypuszczając swoją świadomość coraz wyżej, jakby był ptakiem wzbijającym się, by obejrzeć krajobraz z góry.

Prawie od razu wyczuł to, czego szukał. Teren był mało uczęszczany, więc miejsce morderstwa popełnionego dwa dni wcześniej rzucało się tutaj w oczy jak ślad wypalony na jasnej tkaninie.

Wzór w światłocieniu aury był jednak trudny do przełożenia na obrazy widziane oczami, toteż zanim Brune fizycznie dotarł do celu, minęło trochę czasu. Brnąc przez podmokłe łąki, zabłocił i przemoczył buty. Kilka razy musiał poczekać w cieniu zarośli, aż słońce, które znalazło prześwit w chmurach, z powrotem się schowa.

W końcu stanął tam, gdzie chciał – na polance w krzakach poniżej przystani. Parę kroków dalej zaczynało się grzęzawisko zarośnięte trzcina i sitowiem.

Trawa w jednym miejscu była zdeptana i jeszcze się nie podniosła. To tutaj echo czerni sprawiało wrażenie najsilniejszego. Żmij ukląkł i zamknął oczy.

Ślad był świeży, więc wizja przyszła błyskawicznie. Brune syknął przez zęby, gdy przed oczyma przeleciały mu migawki wrażeń. Prymitywne podniecenie, nagła furia, nóż. Panika kobiety, jej ból, ciepło krwi na rękach.

Wstając z klęczek, pomyślał, że mniej więcej takiej historii się spodziewał.

Bezdomna dziewczyna z Orchosti. Mężczyzna w chłopskiej sukmanie, który jej zaoferował trochę jedzenia i wódki, żeby zechciała z nim pójść w zarośla. Pewnie flisak z którejs z tratw. Był na tyle pijany, że jego możliwości nie odpowiadały chęciom. Wyśmiała go, a wtedy stracił panowanie nad sobą.

Jeśli coś mogło budzić zdziwienie, to fakt, że zabójstwo dokonane w stosunkowo odludnym miejscu zostało odkryte tak szybko. Może ktoś akurat był w pobliżu, usłyszał krzyk. Jedno wydawało się pewne: ta sprawa nie miała związku z tym, co działo się – albo nie – w siedzibie barona.

Żmij ruszył przez łąki z powrotem w kierunku przystani i miasteczka. Nagle drgnął, czując ostrzegawczy chłód.

Nie wiedząc jeszcze, co go zaalarmowało, odruchowo postawił tarczę. Sięgając umysłem w przestrzeń, wyczuł niedużą, kulącą się obecność.

Tam, wyżej. Na wierzbie.

W powietrzu zabłysło sine wyładowanie, rozległ się rozpaczliwy skrzek i coś spadło z gałęzi na ziemię, prosto pod nogi Krzyczącego.

Mały astralny szpieg, stworzenie wielkości gołębia. Trafione spalającym zaklęciem, wilo się, czerniejąc w oczach.

Szacunek żmija dla Isabei wzrósł. Prawie na pewno to ona wysłała stworka, by na bieżąco śledzić sytuację w Orhosti. Nieźle jej poszło, jak na osobę pozbawioną daru.

Upewniwszy się, że paskudztwo zmieniło się w popiół, Krzyczący czubkiem sztyletu nakreślił na przedramieniu ochronny znak.

* * *

Zanim wrócił do rezydencji barona, zdjął iluzję. Odźwierny na jego widok przełknął ślinę, ale dzielnie przyjął kamienną minę profesjonalisty.

– Pana nie ma – oznajmił.

Żrenice żmija załśniły. Odźwierny z nagle ogłupiałą miną cofnął się, przepuszczając go, po czym zamknął drzwi. Ruchy miał teraz sztywne, niezgrabne.

– A czy pytałem? – mruknął retorycznie Brune.

Wchodząc na górę, minął się na schodach ze służącą od małpki. Zmierzyła go

przestraszonym wzrokiem – widocznie odgadła, że coś jest nie tak.

Skupiwszy się, zmij wyczuł obecność barona w bibliotece. Szczęśliwie Hoogstraten był sam.

Stał przy jednym z wysokich regałów. Widząc Krzyczącego, prawie upuścił książkę, którą właśnie kartkował. Opanował się jednak i odłożył ją na półkę, po czym splótł ramiona na piersi.

Bał się. Jak jasna cholera. Ale doskonale to maskował.

– Jesteś bezczelny, chłopcze – wycedził.

– Dwa słowa. Isabei Rhis.

Oblicze Hoogstratena poszarzało.

– Widziałem się z nią – kontynuował zmij. – Opowiedziała mi ciekawe rzeczy.

– Do...myślam się – odrzekł słabo baron. Wskazał dwa stojące pod ścianą fotele.

– Może usiądziesz?

– Dziękuję, postoję. Dla kogo przeznaczone były maści, panie Hoogstraten?

Muszę to wiedzieć.

Baron oblizwał wargi. Kolana mu drżały, ale nadal dzielnie udawał odważnego.

– Sprawy Tarantuli.

– Nie, nie. – Krzyczący nie odrywał od niego wzroku. – Obawiam się, że takie wyjaśnienie nie wystarczy.

– Maści... nie mają żadnego znaczenia – wykrztusił Hoogstraten. – Cokolwiek powiedziała ci Isabei, kłamała.

– Rozumiem. Proszę mi opowiedzieć prawdziwą wersję.

– Chwileczkę. – Baron w końcu dał za wygraną i opadł na fotel. Spocony i oklapły wyglądał jak karykatura siebie.

Do biblioteki zajrzał sekretarz.

– Panie Hoogstraten?...

– Wyjdź, Mathias – rozkazał ochryple baron. – Wszystko w porządku. Zamknij

drzwi.

Mathias skłonił się i posłusznie wycofał.

– Czekam – przerwał milczenie żmij.

– Dobrze, opowiem wszystko od początku. Tydzień temu odwiedził mnie stary przyjaciel. Przywiózł ze sobą odmiankę imieniem Księżniczka. Był mi winien dwa tysiące leri i namówił mnie, żebym zamiast pieniędzy przyjął ją.

Brune uniósł brew.

– O ile się nie mylę, handel ludźmi jest zakazany w całym Talme. Odmieńców też to dotyczy.

Baron znowu osuszył czoło. Miał minę niczym stary rozpustnik w konfrontacji z rodziną – w połowie żalowaną, w połowie zaciętą i pełną urazy.

– Mniejsza z tym – powiedział ze znużeniem żmij. – Przyjaciel przywiózł panu odmiankę, i co dalej?

– Była... dziwna. Nie odzywała się. Miała dziwne oczy. Niby wszystko było z nią w porządku, ale szybko przestała mi się podobać. Rorick też chyba czuł, że coś jest z nią nie tak, dlatego tak mnie namawiał, żebym ją zatrzymał. – Hoogstraten skrzywił się. – Stary dureń... kosztowała mnie dwa tysiące leri, a skończyło się tak, że kazałem przeznaczyć dla niej osobne pomieszczenie w skrzydle dla służby, karmić i dobrze o nią dbać, z nadzieją że ją odsprzedam.

– I wciąż tu przebywa?

– Słuchaj dalej. Cztery dni po wizycie Roricka zjawiała się tutaj Isabei Rhis, żeby osobiście przekazać nie dobrą wiadomość. Trzeba ci wiedzieć, że jakiś czas temu zaaranżowałem dla Tarantuli werbunek trzech nedgvarskich mistrzów walki, z tych najlepszych, którym nie wolno się wybrać za granicę bez pozwolenia samego cesarza. Chcieli potajemnie opuścić ojczyznę, przez pośredników zaoferowałem im posady, pomogłem załatwić podróż, statek... Wszystko pięknie się udało, tylko potem okazało się, że jeden choruje na jakieś ichnie południowe świństwo, a wyszło to na

jaw dopiero wtedy, kiedy zaraziło się od niego parę osób z organizacji. Przeraziłem się, że zwierzchnictwo każe mnie pozbawić życia, ale nie, okazali łaskawość. Polecili, bym przekazał w ręce Isabei dużą kwotę na leczenie chorych i bym zamówił u ciebie zaklęte maści. Spełniłem te rozkazy, a korzystając z okazji, poprosiłem Isabei, żeby rzuciła okiem na Księżniczkę. Panna Rhis może i jest pozerką w kwestii daru – dodał szybko Hoogstraten, widząc minę Krzyczącego – ale dużo wie o wszelkich dziwactwach przyrody, sfer i nie tylko. Byłem ciekaw, co powie.

– I?

– Weszła do izby, popatrzyła tylko na Księżniczkę i ta padła martwa.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu. Żadnych śladów przemocy, żadnego sposobu, by cokolwiek udowodnić. Znając Isabei, uznałem to za popis, pokaz siły. Ostrzeżenie, że jeśli zechce, będę następny.

Brune uniósł brew.

– Nie posiadając daru, raczej trudno kogoś zabić samym wzrokiem.

– Nie twierdzę, że samym wzrokiem. Nie stałem na tyle blisko, żeby patrzeć jej na rękę, a Isabei biegle posługuje się truciznami. – Hoogstraten poruszył się, nadal wyraźnie pełen napięcia. – W Tarantuli nie ma się przyjaciół, Brune. Ta nieszczęsna sprawa z chorym wojownikiem bardzo zaszkodziła moim notowaniom. Uznałem, że Isabei postanowiła to wykorzystać. Ale ona także ma wrogów. Gdyby udało się tak zaaranżować jej zabójstwo, żeby nie można go było powiązać ze mną...

Krzyczący nie uznał za stosowne ukryć pełnej politowania miny.

– Od razu tak drastyczne środki? Jak już wspomniałem, są sposoby, aby sobie zapewnić magiczną ochronę...

– Ochronę, dobre sobie! – uniósł się baron. – A gdyby chodziło o ciebie, chciałbyś żyć w ciągłym strachu?

– Proponuję najprostsze rozwiązanie, czar kozła z przeniesieniem na zwierzę,

może być pański pies – kontynuował żmij, jakby nie usłyszał. – Na początek na tydzień. Pełnej gwarancji nie ma nigdy, ale po nałożeniu zaklęć będzie pan bezpieczniejszy niż bez nich.

– A Isabei?

– Wszystko w swoim czasie.

– Magu...

Krzyczący popatrzył na barona, a Hoogstraten był na tyle rozsądny, że zamilkł.

4.

Gyara nad Morzem Tęsknot była niedużym, brzydkim miastem. Błotniste ulice, licha zabudowa, smród.

Brune zmaterializował się nad rzeką, niedaleko przystani dla barek. Nieopodal, wciśnięty między dwa spichlerze, tkwił stary drewniany budynek. Nad wejściem kołysał się czerwony szyld. Jego odbicie w brudnej wodzie wyglądało jak plama krwi. Wewnątrz oficjalnie mieścił się szynk. Nieoficjalnie znajdowała się tam także palarnia opium; paskudne miejsce, do którego okoliczne męty ściągały jak muchy do padliny. W Gyarze prowadzenie tego rodzaju przybytków było sprzeczne z prawem, lecz właściciel co miesiąc płacił okrągłą sumkę strażnikom miejskim i interes kręcił się bez przeszkód.

Zanim Krzyczący podszedł do wejścia, zamaskował się iluzją, przeistaczając się w brudnego pijaczynę. Po namyśle wzbogacił wizerunek, stając się odmieńcem o zielonkawej skórze.

Drzwi pilnował łysy typ z bliznami na ramionach i kolczykiem w uchu. Wchodząc, żmij szepnął mu hasło.

– Nochala nie ma – powiedział obojętnie typ i splunął.

Krzyczący powiedział drugie hasło. Łysy spojrzał na niego uważniej.

– Masz, psiakrew, fantazję – ziewnął. Zęby miał spiłowane w szpice. – A

gdybym ci rzekł, że zielonych nie wpuszczamy?

– Przypuszczam, że mógłbym się zrobić pierzasty. W lewo czy w prawo?

– Na górze.

Znaczyło to, że Nochal nie siedzi ani w szynku, ani w palarni, tylko na kwaterze, którą tu wynajmował, ale wykorzystywał głównie do przechowywania towaru.

Minąwszy wejście do głównej sali, skąd dochodziły pijackie śpiewki, zmij wspiał się rozchwierutany schodami aż na poddasze, pełne skrzyń, gratów i pajęczyn. Schylił się, żeby przejść pod ustawionymi skośnie belkami podtrzymującymi dach. Za załomem ściany ukryte były drzwi, łatwe do przeoczenia dla kogoś, kto nie wiedział, gdzie ich szukać. Brune zastukał w umówiony sposób, starając się nie pomylić sekwencji.

Drzwi uchyliły się i przez szparę wyjrzał niski, ale spasiony jak beczka odmieniec. Poniżej oczu jego oblicze wyglądało jak podwojone: miał dwa nosy, stykające się u góry, oraz zajęczą wargę. Obrazu dopełniała strzecha zlepionych kudłów. Wytrzeszczył ślepie.

– Co u...?

– Oczy szwankują? – uśmiechnął się Brune. Oblicze dwunosego się rozjaśniło.

– Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać, sukinsynu. Wchodź i siadaj. – Cofnął się, żeby przepuścić zmija. – Wina? Mam dobre, chalkiryjskie.

– Daj spokój. – Krzyżący zasłonił nos chustką. Na podłodze izdebki rozłożone były poplamione, śmierdzące niemiłosiernie lniane szmaty.

Sfałszować można każdy towar, jeśli jest nań popyt. Nawet całuny z grobów, jeśli prości ludzie wierzą, że taki cuchnący strzep noszony w woreczku na szyi chroni od choroby i złego oka. Zawinąć w płótno odpadki od rzeźnika i poczekać, potem tkaninę strzepnąć i wysuszyć, najlepiej na nagrzanym strychu. Trochę prostsze od odkopywania trumien, zwłaszcza że w Gyarze, gdzie rygorystycznie przestrzegano

starych obyczajów, za zbezcieszczenie miejsca pochówku groził stos.

Nochal zarechotał. On też rozsiewał aromat o powalającej sile, tylko nieco innych nutach.

– Co cię sprowadza? Będziemy robić nocną wycieczkę na cmentarz?

– Nie. Potrzebne mi są świece mroku. Masz?

– Mam. Ale przecież mógłbyś je sobie sam przygotować.

– Mógłbym. Zajęłoby mi to tydzień, lekko licząc, a muszę je mieć już teraz.

Poza tym potrzebuję odcisków dłoni, tych, które miałeś dla mnie zbierać. Ile się uskładało?

– A ile zapłacisz? – zainteresował się chytrze Nochal.

Żmij sięgnął do sakiewki, którą dostał od Hoogstratena, i położył na blacie dwie złote monety.

– Zawsze byłeś skąpy. – Odmieniec skrzywił się. – Przypuszczam, że nie zechcesz wyjaśnić, w co się wpakowałeś?

– Nie wnikaj w to, Nochalku. Kto wie zbyt wiele, szybko się starzeje.

Dwunosy znów spojrzał wymownie na monety. Brune, które spodziewał się takiej reakcji, dołożył jeszcze jedną.

– A nie zamienią się do jutra w błoto?... Dobra, żartowałem.

* * *

Przez okna opuszczonej świątyni wpadał blask zachodzącego słońca.

Brune sięgnął po świeży kawałek kredy i dopisał kilka ostatnich znaków, po czym cofnął się, patrząc na swoje dzieło. Inskrypcje, pentagramy, symbole żywiołów oraz konstelacji pokrywały całą ścianę za ołtarzem, tak wysoko, jak żmij mógł dosięgnąć.

Otrzeptał ręce i wyszedł na taras, skąd roztaczał się widok na zarośnięty chwastami cmentarz o omszałych nagrobkach, wrośniętych częściowo w ziemię.

Miejsce, odległe od ludzkich sadyb, było niemal idealne. Niemal, bo jeszcze lepsze byłoby pobożowisko lub wioska opustoszała po zarazie.

Kilka poszlak dało Krzyczącemu mocno do myślenia, więc poczynił tu przygotowania, jeszcze nie mając pewności, czy okażą się potrzebne. Teraz nadszedł czas, by wznowić śledztwo.

Zanim opuścił willę Isabei, dyskretnie przywłaszczył sobie pewien drobiazg – kilka nici frędzla, oderwanych z zasłony w korytarzu. Zacisnął je teraz w dłoni, wizualizując przeładowany ozdobami salon.

Przebywając w siedzibie fałszywej magini, zdążył się upewnić, że jej domostwo ma wprawdzie astralne bariery zabezpieczające przed intruzami, ale nie na tyle silne, by nie był w stanie przez nie przeniknąć. Kwestia wprawy i siły daru.

Zmaterializował się na korytarzu i prawie natychmiast znieruchomiał, czując w aurze miejsca charakterystyczny chłód. Ktoś nie żył.

Krzyczący sięgnął umysłem w przestrzeń. Wyczuł ludzi – pewnie służbę – gdzieś daleko, w drugim skrzydle domu, bliżej zaś rozdrażnioną zwierzęcą obecność, trudniejszą do precyzyjnego zlokalizowania niż człowiek. Odgadł, że to harpia, ale nie potrafił określić, gdzie się znajduje. Mogła równie dobrze przebywać w sąsiednim pomieszczeniu, jak piętro wyżej.

Musiał zaryzykować. Dobył sztyletu i wszedł do salonu, spięty i czujny.

Pusto. Na dywanie obok przewróconego stolika, jak porzucona lalka, leżała Isabei Rhis. Brune ukląkł, ostrożnie odwrócił ją na wznak i wyłącznie dla zasady sprawdził puls na szyi.

Śmierć nastąpiła niedawno, ciało nie zdążyło jeszcze ostygnąć. To tłumaczyło, czemu zwłok nie znalazł ktoś ze służby – widocznie mieli przykazane, aby nie przeszkadzać pani.

W pierwszej chwili nie dostrzegł żadnych ran, sińców czy śladów krwotoku z nosa. Nic nie wskazywało też na szamotaninę. Isabei miała na sobie inną suknię niż

poprzednio, jasną. Widząc na spódnicy z boku czerwoną smugę, żmij uważniej przyjrzał się ciału. Palce jednej dłoni były obgryzione. Czyli harpia dobrała się do zwłok, ale przypuszczalnie zraził ją zapach perfum i duża ilość odzieży.

Dla pewności rozejrzał się po pokoju, ale nie, nigdzie nie było śladów walki. Wyglądało to tak, jakby Isabei po prostu straciła przytomność i upadła, przewracając stolik.

Kątem oka złowił ruch i zeszywniał, gdy zza kotary wyłonił się czarny kształt. Harpia. Na widok obcego rozwarła zębaty pysk i zasyczała.

Sztylet w ręku żmija przemienił się w rapier. Brune wstał powoli, z bronią w pogotowiu i oczami świecącymi żółto.

Mógłby się po prostu zdematerializować i pozostawić problem innym, ale nie podobało mu się takie rozwiązanie.

Harpia skoczyła, wyciągając szpony i chlaszcząc podobnym do bicia ogonem. Chybiła. Wzbiła się z trzepotem, o włos unikając dobrze wycelowanego pchnięcia. Raz i drugi plunęła jadem, ale nie mogła trafić przeciwnika chronionego zaklęciem tarczy.

Brune wycedził przekleństwo. Bez problemu mógł trzymać stwora na dystans, lecz dosięgnąć go ostrzem nie było już tak łatwo.

Lewą ręką cisnął garść sinego ognia, ale harpia zanurkowała zwinnie, a pocisk osmalił zasłony, na szczęście ich nie podpalając. Żmij zacisnął zęby. Mógłby potraktować stwora czymś silniejszym, ale do tego potrzebował obu rąk i czasu, żeby wypowiedzieć formułę. Za długo.

Odskoczył, umykając przed kolejnym plunięciem. Czuł, że zaklęcie tarczy już nieco osłabło – nie był w stanie długo utrzymywać osłony o maksymalnej sile – i nie chciał sprawdzać, czy na pewno ochroni go przed jadem.

Harpia okrążyła go, nastroszona, ruszając wahadłowo ogonem jak rozzłoszczony kot. Zakrakała ochryple.

– Chodź – szepnął żmij, mrużąc oczy.

Rzuciła się na niego, szczerząc kły. Jej szpony zagarnęły pustkę. W następnej chwili z trzaskiem poraziło ją drugie magiczne wyładowanie.

Wrzasnęła ogłuszająco, targnięta paroksyzmem bólu. Rzygnęła jadem na zasłony, w których w okamgnieniu pojawiły się dymiące dziury. Brune skoczył, zwinnie unikając łopoczących skrzydeł. Przeszyta ostrzem harpia zwała się na podłogę i znieruchomiła.

Żmij z trudem przełknął ślinę. Oczyszczył rapier i przemienił go z powrotem w sztylet, a ten schował.

Krew stwora z sykiem trawiła kosztowny dywan.

Odczekawszy chwilę, żeby dojść do siebie, Krzyżący chciał się zdematerializować, ale dwie próby nie dały efektu – był jeszcze zbyt zdekoncentrowany napięciem walki. Za trzecim razem ujrzał wokół siebie gęstniejącą mgłę. Proces zachodził, ale w spowolnionym tempie.

Nagle przecucie zagrożenia przejęło żmija chłodem. Obejrzał się i zmarł.

Harpia miała otwarte ślepia. Napotkał jej spojrzenie.

Zanim gęstniejący opar zdołał ich rozdzielić, po raz ostatni plunęła jadem. Brune o ułamek sekundy spóźnił się z postawieniem tarczy; lepka ciecz trafiła w dłoń, którą odruchowo się zasłonił. Zapiekło upiornie, jakby wsadził rękę w ogień. W następnej chwili komnata zniknęła przed jego oczu, wchłonięta przez wirującą szarość.

* * *

Choć odporniejszy na trucizny od zwykłych ludzi, i tak odchorował swoje.

Zmaterializował się tam, dokąd zaniósła go intuicja – dar w takich sytuacjach pomagał magowi trafić w najbliższe bezpieczne miejsce. Otworzywszy oczy, Brune rozpoznał brudne przedmieście Gyary i przystań dla barek.

W pierwszej kolejności opłukał rękę w rzece, obojętny na śmieci pływające w mętnej wodzie. Był *ka-ira*, mógł się nie obawiać zakażenia rany.

Nie ufał Nochalowi i jego wspólnikom na tyle, żeby się do nich zwrócić z prośbą o pomoc. Znalazł jakąś rudere, gdzie nie wyczuwał obecności ludzi, ukrył się w piwnicy i tam zmył resztki trującej mazi jednym z antidotów, które zawsze nosił przy sobie. To, co wniknęło w skórę, na pewno wystarczyłoby, żeby zabić zwykłego człowieka. Ból był nieprawdopodobny, nieproporcjonalny do wielkości oparzenia. Ręka zdrętwiała aż po ramię, palce spuchły, nie mógł nimi poruszać. Do tego dołączyły duszności, klucie w piersi i nieregularne bicie serca.

Leżał, oddychając z trudem, a godziny mijały. Marzył. Co pewien czas niemrawo odganiał szczury, które próbowały go obwąchiwać.

Do świtu w miarę wrócił do siebie, choć dłoń pozostała niesprawną. Bolała wściekle, opuchnięta i gorąca. Gdy na zewnątrz się przejaśniło, wyszedł poszukać wody, teraz już nie kryjąc się za iluzją, bo nie miał siły.

Na placyku między sypiącymi się kamieniczkami znalazł studnię. Napił się, schłodził ranę, zrobił opatrunek z zamoczonej chustki i spróbował się trochę doprowadzić do porządku.

Zdrowa dłoń powędrowała do kieszeni, żeby dotknąć Hoogstratenowego złota. Świadomość, że je ma przy sobie, trochę podniosła żmija na duchu. Ruszył w niezbyt przyjemną drogę śmierdzącymi uliczkami, dopóki jego oczom nie ukazało się to, czego szukał – szyld nad okratowanym oknem sklepu, przedstawiający węża wyłaniającego się z pęku kwiatów.

Zawieszane nad drzwiami dzwoneczki zadźwięczały, gdy Krzyczący wszedł do środka. Było tam mroczno, w nosie wiercił melanz zapachów. Z sufitu zwieszały się wiązki ziół. Przy drzwiach stał worek z bryłkami kadzidla, obok drugi, pełen martwych chrząszczy. Na półkach lśniły niezliczone buteleczki z ciemnego szkła. Do każdej przymocowany był wstążeczką kartonik z frywolnym rysunkiem. Eliksię

miłosne.

– Kropla dziegiu wystarczy, aby zepsuć beczkę miodu, ale kropla miodu nie osłodzi beczki dziegiu – przemówił skrzekliwy głos z nedgvarskim akcentem. Zza kotary, z zaplecza wynurzyła się otyła, smągła kobieta. Jej ramiona okrywał wzorzysty szal, a na każdej ręce miała po kilka brzęczących bransolet.

– Co masz na myśli, matko?

– To mam na myśli, że tobie na nic się nie przydadzą. – Omiotła Krzyczącego wzrokiem, nieco dłużej zatrzymując spojrzenie na opatrunku. – Czegoś szukasz czy wszedłeś tak sobie, ot?

Nie podobała mu się jej chytra mina, ale nie miał wyboru. Zniżył głos.

– Potrzebuję żyły.

Zacmokała.

– Tylko jeśli masz pieniądze, kochanieńki. Czterdzieści leri, ani miedziaka mniej. I płacisz z góry.

– Nie ma sprawy – wzruszył ramionami, wyjmując sakiewkę.

– Lakki! – krzyknęła Nedgvarka. – Gdzie się podziewasz, darmożjadzie? Chodź tu!

Zza kotary wyłoniła się śniada, czarnowłosa dziewczyna, też w szalu i pobrękująca bransoletami.

Ledwie żmij dotknął jej skroni zdrową ręką, Lakki cofnęła się. Na jej twarzy strach walczył o lepsze z obrzydzeniem.

– Pięćdziesiąt! – zawołała.

– Co?

– Na takim głodzie płacisz pięćdziesiąt.

– Siedemdziesiąt! – warknęła za jego plecami starsza z kobiet. – Jak potrzebuje, to da.

Kiedy indziej Brune targowałby się, teraz zabrakło mu cierpliwości. Rzucił

monety na ladę i zreflektowawszy się, ujął dziewczynę za nadgarstek, żeby czerpanie było mniej gwałtowne.

Jej siła życiowa momentalnie uderzyła go gorącym. Ból zelżał.

– Dosyć – szepnęła Lakki. Normalnie zmij usłuchałby, lecz tym razem stało się coś złego. Odurzony siłą, którą wchłonał i spragniony dziesięciokrotnie większej dawki, zareagował instynktownie, jak drapieżnik odciągany od zdobyczy. Zanim Lakki zdążyła się zorientować, że coś jest nie tak, pchnął ją na ścianę, złapał za gardło...

Raptem otrzeźwiał. *Co ja robię, co się ze mną dzieje?*

Puścił przerażoną dziewczynę i wypadł stamtąd, jakby ścigały go demony. Zatrzymał się dopiero kilka ulic dalej. Odetchnął, próbując się uspokoić.

Co cię opętało, idioto? Nie obawiał się, że kobiety doniosą komukolwiek, co się stało – zarówno za bycie żyłą, jak i za stręczenie żył groziło w Gyarze napiętnowanie i loch. Przeraziło go co innego – że tak łatwo utracił kontrolę.

Przynajmniej czerpanie podziałało, ból osłabł. Brune odwinął opatrunek – opuchlizna zmniejszyła się, choć nie zeszła całkowicie. Znow był zdolny do działania.

Uśmiechnął się ponuro.

Wszystko w swoim czasie.

5.

Zdrowy rozsądek kazał powściągnąć niecierpliwość mimo świadomości, że trop stygnie. Bardzo już konkretne podejrzenia co do osoby przeciwnika sugerowały ostrożność.

Przytomny i pozbierany po kilku godzinach snu, z porządnie opatrzoną ręką, Krzyczący w Ciemności siedział na tarasie opuszczonej świątyni, przerzucając karty grymuaru. Doczytawszy, co chciał, zatrzasnął księgę.

Oparzona lewa dłoń paliła mimo bandaża i warstwy kojącej maści. Świetnie. Ból dawał siłę, choć nie w każdych warunkach. Nie tuż po odniesieniu obrażeń i nie wtedy, kiedy ciało było słabe – wówczas osłabiał je jeszcze bardziej. Jednak od zadania rany minęło już dostatecznie dużo czasu i gdy Brune skupiał na niej myśli, czuł, jak jego żyły wypełnia ciepło.

Pora brać się do roboty.

Łatwiej mu było zwizualizować osobę niż mgliste wrażenie, a tożsamości był w zasadzie pewien, postanowił więc zaryzykować. Zamknął oczy i przywołał z pamięci blade, nalane oblicze Morszczuka.

Zdematerializował się łatwo i niemal w tej samej sekundzie znów stał na ziemi. Lecz coś było nie tak. Uderzyło go znajome, parzące zimno i serce podjechało mu do gardła.

Srebrni.

Zareagował instynktownie, nim jeszcze ocenił sytuację. Spowić się cieniem, zniknąć.

Pierwszym, co ujrzał, były zwłoki albinosa... leżące na kamiennym stole, jednym z kilku. Obszerna, pozbawiona okien sala, oświetlona sinawymi kulami lamp, wyglądała na prosektorium. Śmierdziało tu octem i trupią zgnilizną. Golem służebny powolnymi, niezgrabnymi ruchami mył posadzkę. Na jego klatce piersiowej widniał wymalowany białą farbą pentagram.

Brune w myślach pogratulował wrogowi sprytu. Nie chciał się nawet zastanawiać nad tym, ile miał szczęścia. Gdyby w pomieszczeniu, gdzie wylądował trup Morszczuka, znajdował się akurat jakiś srebrny mag albo choćby adept...

Kiedy na powrót otoczyły go wirujące barwy, zmij wiedział już, że prawie na pewno jest bezpieczny. Iść za echem dematerializacji można było tylko w ciągu paru sekund od jej dokonania.

Odzyskał fizyczną postać gdzieś na bagnach, daleko od zamieszkanym okolic.

Zaklął w myślach. Dwie dematerializacje – dość, by go osłabić w wyczuwalnym stopniu, a potrzebował jeszcze dwóch. Co najmniej dwóch. Nie stać go było na kolejny błąd.

Zacisnął powieki, koncentrując się. Jego twarz wykrzywił skurecz.

Pamiętam cię.

Blade, obojętne oczy. Dotyk zimnych palców. Chłód wzdłuż pleców, przeczucie zagrożenia.

Płynąc przez przestrzeń między wymiarami, nadal koncentrował się na tym obrazie. Przeszedłszy z powrotem do materialnego świata, drgnął, widząc pokryte zielonym obiciem ściany i pejzaże w połączonych ramach. Czego jak czego, ale tego się nie spodziewał.

Tłok w gabinecie zdziwił go już mniej. Hoogstraten w aksamitnym szlafroku i czapeczce, jego sekretarz z lichtarzem w ręku i dwóch służących – wszyscy pochylali się nad martwym odmieńcem w łachmanach. Mała pokojówka stała z boku z przerażoną miną.

Ujrawszy żmija, Hoogstraten nie wyglądał na zaskoczonego.

– Mathias znalazł go tu dosłownie przed chwilą – oznajmił szorstko, wskazując trupa. – To twoja sprawka, tak?

Mathias pod wzrokiem Krzyczącego poruszył się niespokojnie, lecz w jego oczach żmij ujrzał jedynie to, co zawsze – strach i niechęć do *ka-ira*.

– Odpowiadaj, kiedy pytam!

Krzyczący przeniósł na barona chłodne spojrzenie. Nie omieszkał przy tym odnotować, że oczy Hoogstratena również mają normalny kolor. To akurat go nie zdziwiło.

– Panie Hoogstraten, zapomina się pan.

– Tak? A wiesz, o czym doniesiono mi po południu? W miasteczku znaleziono zwłoki chłopaka w niebieskich szatach, jednego z tych, co służą srebrnym magom,

nie mając daru. O tym też nic ci nie wiadomo, jak mniemam?

– Teraz już wiadomo. Martwy sługa Elity? Ciekawe.

Oblicze Hoogstratena nabrało buraczanej barwy. Baron wyglądał, jakby lada chwila miał dostać apopleksji.

– Staramy się dobrze żyć z Elitą! Jeśli wyjdzie na jaw, że to ty, Tarantula nie puści ci płazem tej samowoli, słyszysz?

Brune nie odpowiedział. Znieruchomiał, wpatrując się w punkt poza plecami barona.

Dziewczyna.

Jej oczy. Jeszcze poprzedniego dnia były piwne, przestraszone. Teraz – zimne i blade, jakby wypłukane z koloru.

Przez ułamek sekundy patrzyli na siebie.

Wiem, że ty wiesz.

Jej rysy skurczyły się brzydko. Nagle skoczyła na żmija, wyciągając nie wiadomo skąd nóż. Brune złapał ją za nadgarstek i wykręcił rękę, podciął kopniakiem nogi, przytrzymał szamoczącą się, zanim upadła. Błysnęły sine iskry czaru paraliżującego. Jedno wyładowanie, drugie – aż zwisła w jego uścisku. Ludzkie ciało szczęśliwie miało swoje ograniczenia.

Krzyczący popatrzył na barona, który zamarł w niemym szoku.

– Proszę o wybaczenie. Kiedyś wyjaśnię.

Nie mógł się zdematerializować razem z nią, więc otworzył portal. Gdy ogarnęła ich mglista pustka, dziewczyna jęknęła, poruszyła głowę. To, co w niej tkwiło, już zaczynało się budzić, dużo wcześniej, niż powinno po potraktowaniu taką dawką magicznej energii.

W lodowatej astralnej przestrzeni znikąd spadły na nich trzepoczące istoty. Stworki wielkości gołębia, takie same jak ten, który śledził żmija na łące. Powieki dziewczyny uniosły się, wargi drgnęły, jakby próbowała coś wymamrotać.

Przyciągała je.

Brune szepnął słowo i na sekundę otoczył ich huczący wir płomieni. Stworki pierzchły; te, które nie zdążyły, obróciły się w popiół.

Po chwili znaleźli się na tarasie świątyni, pod nocnym niebem. Krzyczący wniósł dziewczynę do środka i złożył przed ołtarzem. Sprawnie skrepował jej ręce i nogi sznurem, który przewidująco tu przygotował. Korzystając z tego, że jeszcze nie oprzytomniała, obszukał jej kieszenie i tak jak się spodziewał, znalazł ozdobiony onyksami talizman. Odłożył go na razie w kąt, dla bezpieczeństwa obrysowując dwoma symbolami. Nie chciał, żeby magia przedmiotu zakłóciła to, co zamierzał zrobić.

Zakreślił wokół dziewczyny szeroki krąg kredą, na jego obwodzie wypisał kilka znaków. Z przygotowanych gałęzi ułożył w obrębie kręgu stosik i gestem nakazał mu zapłonąć, następnie zaś pozapalał stojące na ołtarzu świece mroku. Dwanaście, tak jak nakazywał grymuar.

Za sobą usłyszał głos – w połowie jęk, w połowie przekleństwo.

Dziewczyna podniosła głowę i obrzuciła wzrokiem wewnątrz świątyni, uprzątnięte, omiecione z pajęczyn. Inskrypcje pokrywające ścianę, ołtarz nakryty czarną tkaniną, świece i ogień.

– A więc wiesz – powiedziała z rezygnacją.

– Owszem – przytaknął Krzyczący. Podszedł i przykląkł, żeby spojrzeć jej w twarz. – Choć miałbym do ciebie kilka pytań. Przyznasz mi się, z którego dominium astralnego pochodzisz?

– Obyś zgnił, magu – warknęła. Głosem Morszczuka. Brune pokręcił głową.

– Kulturalni ludzie umieją kulturalnie rozmawiać. Liczyłem, że mi wyjaśnisz kilka spraw.

Odpowiedzią był charkot, jaki – zdawałoby się – nie powinien się wydobyć z ludzkiego gardła.

Brune wyjął z kaletki przy pasie buteleczkę, odkorkował ją i spokojnie zwilżył palce pachnącą hyzopem miksturą, po czym dotknął nimi czoła.

– Nie chcesz mówić? Dobrze, w takim razie ja zacznę.

Dziewczyna splunęła w jego stronę. Zignorował to.

– Oprócz wolno żyjących stworzeń astralnych istnieją też pasożyty. Potrafią one przenikać do materialnego świata i przejąć władzę nad ciałem śmiertelnika w taki sposób, że otoczenie nie ma szans się zorientować. Nie zmienia się ani wygląd, ani głos, ani aura. Gospodarz po jakimś czasie... krótszym lub dłuższym, zależnie od indywidualnej odporności... zaczyna słabnąć, wtedy pasożyt szuka sobie nowego żywiciela. Przeskakuje z ciała na ciało poprzez... coś w rodzaju hipnozy. Wprowadza ofiarę w trans, żeby unieczynnić bariery jej umysłu. Wystarczy, że przez chwilę popatrzy jej w oczy. – Żmij uśmiechnął się. – Najlepszym, bo najbardziej odpornym żywicielem będzie mag, ale najtrudniej go skutecznie zaatakować, prawda? Na drugim miejscu są, jak się zdaje, odmieńcy, przynajmniej sądząc po twoich preferencjach. Jeśli trafnie odgaduję, przybyłeś do Orchosti w tej całej Księżniczce, a więc musiałeś w niej siedzieć dość długo. Czy musiałaś, wybaczyć, jeśli myślę twoją płcią. Masz w ogóle płęć?

Specjalnie dobierał słowa tak, żeby prowokować istotę, i nie zawiódł się.

– Niech cię Otchłań pochłonie – warknął stwór ustami ofiary.

– Jednak będziesz ze mną rozmawiać po ludzku? Świetnie. To jak mam się do ciebie zwracać?

Odpowiedzią był znowu charkot, a w zasadzie szwargot w nieznanym żmijowi języku. Znaczenie słów dawało się odgadnąć z intonacji.

– Grzeczniej, proszę – westchnął Brune. – Nie w obecności damy.

Ponownie zwilżył palce miksturą i nakreślił znak nad czołem dziewczyny. Zawyla i targnęła się w więzach, jakby ją oblał wrzątkiem.

– Jestem F'hirrel, wygnaniec z królestwa sylfów! – zaszlochała chłopięcym

falsetem.

– Tak już lepiej.

Sylf przestępca, atakujący śmiertelników? Duchy powietrza były na ogół przyjaźnie nastawione do mieszkańców materialnego świata, ale w sumie czemu nie – wśród ludzi także trafiają się mordercy bez sumienia.

– Nawyczynałeś brewerii, F’hirrelu, że i demon Otchłani by się nie powstydział.

– Nie każdemu jest pisane być świętoszkiem. – Stwór znów przemówił głosem Morszczuka. – Jak myślisz, za co mnie wygnano z dominium powietrznej królowej? Zresztą mniejsza z tym. Jakich wyjaśnień oczekujesz?

– Dotyczących wydarzeń z ostatnich dni. Spróbuję odtworzyć wszystko po kolei, a ty popraw mnie, jeśli gdzieś się mylę. Przybyłeś do Orhosti w ciele odmianki imieniem Księżniczka, którą lekkomyślnie kupił baron Hoogstraten. Gdy nadarzyła się okazja, z Księżniczki przeskoczyłeś w Isabei Rhis, a później miałeś nadzieję, że się uda ze mną. *Ka-ira* byłby świetnym żywicielem, dużo lepszym niż fałszywa magini, nieprawdaż? Od Hoogstratena wiedziałeś, że zjawię się w Orhosti za trzy dni, żeby mu przekazać maści. Wysłałeś Morszczuka, żeby mnie sprowadził, i ustami Isabei opowiedziałeś mi przekonującą bajeczkę w charakterze wyjaśnienia. To oczywiste, że najłatwiej wymyślić kłamstwo częściowo oparte na prawdzie. Tak naprawdę chodziło tylko o pretekst, żeby móc się ze mną spotkać twarzą w twarz. Chwilę porozmawiać, wyczuć słabe punkty, zanim zaatakujesz, bo od początku wiedziałeś, że z *ka-ira* nie pójdzie ci łatwo. Jednakże pokusa dobrania się do mnie była zbyt silna. Dobrze mówię?

– Dobrze – przyznał niechętnie F’hirrel. – Choć śmiem twierdzić, że z niejednym *ka-ira* bym sobie poradził. Może nawet z większością? Przyznam, że po kimś, kto sporządza maści dla przestępców, nie spodziewałem się aż takiego potencjału. No cóż, popełniłem błąd, każdemu się zdarza.

– Zaspokój moją ciekawość i powiedz: a czemu nie Hoogstraten? Albo nie ten

jego przyjaciel, który kupił Księżniczkę?

– A czemu jedne kobiety ci się podobają, a inne nie? To kwestia osoby. Niektórzy... powiedzmy, że mi nie smakują. Inni... – Usta dziewczyny wykrzywił obleśny uśmiech. – Wróciłem do domu barona specjalnie po to, żeby odszukać tę słodką istotkę tutaj. Isabei była lepsza i od niej, i od Księżniczki, a ty byłbyś lepszy od Isabei... Ale gdy się nie ma, co się lubi, trzeba łapać, co się da.

– A ta nieładna zmyłka z Morszczukiem i srebrnymi? Jeśli po naszej rozmowie wiedziałeś, że się zorientowałem, czemu nie opuściłeś ciała Isabei wcześniej?

– Nie wiedziałem – westchnął F'hirrel. – Domyśliłem się dopiero, gdy skontaktował się ze mną Mathias, sekretarz Hoogstratena, by donieść, że widziałeś się z baronem po raz drugi.

– Isabei płaciła mu za informacje?

– Oczywiście.

Cała Tarantula, pomyślał Krzyczący.

– Wtedy już nie marnowałem dłużej czasu – podjął stwór. – Morszczuk był dobrym obiektem, założyłem, że to wydedukujesz. Lubię kobiety i lubię odmieńców. Postarałem się, by jego ciało wylądowało w takim miejscu, żeby ci utrudnić życie, gdybyś ruszył moim śladem, a żeby dodatkowo się zabezpieczyć, wykonałem szybko jeszcze dwie wolty. Nie sądziłem, że mimo wszystko uda ci się nie zgubić tropu. Jesteś lepszy, niż sądziłem.

– Potraktuję to jak komplement.

– No cóż, mój sprytny *ka-ira*, zatem schwytałeś mnie, gratuluję... I co teraz?

– Teraz zadam ci jeszcze jedno pytanie. – Brune nakreślił nad czołem dziewczyny kolejny znak, ignorując jej pełen bólu jęk. – Uważaj, F'hirrelu, bo wyczuję, jeśli skłamiesz. Zdążyłeś się rozmnożyć w świecie ludzi, pasażycie? Rozdwoić się? Wysiać zarodniki? Złożyć jajo?

– Nie – wykrztusił stwór. – Nie, przysięgam na latające lasy Etheri!

– Jesteś pewien? Nie poczyniłeś żadnych... kroków w tym celu?

Powietrze rozdarło coś pośredniego między kwikiem a kobiecym wrzaskiem.

– Świetnie. – Krzyżący wstał z klęczek. – W takim razie zaraz cię pošlę tam, gdzie twoje miejsce.

– Takiś pewien? – zaśmiała się cicho dziewczyna.

Brune znieruchomiał.

Jej twarz puchła w oczach. Oczy wybałuszyły się, rysy zniekształciły nie do poznania. Spomiędzy warg wysunął się czarny język – już nie ludzki, lecz rozwidlony.

– Jeszcze nie wiesz, co potrafię – wycharczał F'hirrel, po czym wydał niesamowity, modulowany wizg.

Zabrział furkot i piski. Żmij wyrzucił ręce do przodu, otaczając siebie i dziewczynę sferą tarczy. W samą porę – ciemność pod sklepieniem ożyła, zaroila się od łopoczących paskudztw. Kręciele, *volantes* oraz inne, których nie znał. Wrzeszczały niczym papugi w ptaszarni, wyzywając go.

Odkorkował drugą z przygotowanych buteleczek i wylał na posadzkę ciemnoczerwoną ciecz. Następnie wziął z ołtarza plik pergaminów, na których widniały odciski dłoni wykonane czymś, co wyglądało jak brązowa farba. Miał naiwną nadzieję, że nie okażą się potrzebne, dlatego nie użył ich wcześniej. Recytując w mowie magów, rozłożył je teraz przed sobą.

– Wy, którzy nie możecie odejść, przybądźcie – zaintonował cicho. – Spełnijcie mój rozkaz, a będziecie wolni.

Mgliste sylwetki umarłych pojawiały się jedna po drugiej, zawisając w powietrzu. Dusze ludzi, którzy zginęli gwałtowną śmiercią, przez co trudniej było im odejść w zaświaty. Znając odpowiednie formuły, można było zażądać od nich pomocy, jeden jedyny raz.

– Zaklinam was na rozlaną tutaj krew, strzeżcie kręgu.

Stanąwszy wewnątrz obszaru zakreślonego wcześniej kredą, zdjął tarczę. Buchnął ogłuszający zgiełk, stwory zakotłowały się, nie mogły jednak przeniknąć przez barierę, którą tworzyli umarli.

Brune spokojnie przemienił sztylet w rapier i wsunął czubek klingi w ognisko, między żarzące się kawałki drewna.

W księgach można było znaleźć sprzeczne informacje, ale pamiętał hipotezę wysuwaną przez niektórych badaczy – że pasożyt zabija ofiary, gdy je opuszcza, ponieważ potrzebuje całej energii życiowej jednego ciała, żeby przenieść się w następną. Zatem gdyby dobrze wycelowanym atakiem zniszczyć pasożyta, gdy ten jeszcze siedzi w żywicielu... Pytanie, czy z jego ofiary przetrwało coś poza cielesną powłoką. Lecz opętania, dokonujące się według podobnego mechanizmu, nigdy nie wiązały się ze zniszczeniem jaźni opętanego, a jedynie z jej stłumieniem i przejęciem przez intruza całkowitej kontroli. To mogło oznaczać, że dla dziewczyny jest jeszcze szansa.

Żmij zaczął po kolei recytować znane mu egzorcyzmy przeciwko bytom ze sfer. Kiedy skończył, był mokry od potu, ale w świątyni panowała cisza. Fruwające paskudztwa zniknęły, rysy dziewczyny zaś wróciły do normalnego wyglądu. Oczy miała zamknięte. Krzyżącemu przemknęło przez myśl, że może się udało, lecz wtedy egzorcyzmowana uniosła powieki, ukazując blade tęczęwki.

– Bardzo dobrze, magu – syknęła głosem Isabei Rhis. – Próbuj dalej. Zmęcz się, wyczerp do cna. Wtedy się tobą zajmę.

Twarz żmija wykrzywiła się w uśmiechu.

– A założymy się?

Zerknął na umarłych – cierpliwie trwali na posterunku. Wyciągnął rapier z żaru i rozgrzanym ostrzem zaczął kreślić w powietrzu znaki. Dziewczyna przewróciła oczami tak, że widać było same białka, a potem zadygotała w drgawkach.

* * *

Za oknami świątyni szarzał świt. Brune zdmuchnął świece mroku, po czym dołożył do ognia.

Służąca Hoogstratena leżała bez ruchu na posadzce. Trwała jeszcze w czymś pośrednim między omdleniem a letargiem; jej ciało odzyskiwało siły.

Żmij musiał walczyć ze sobą, żeby również się nie położyć i nie usnąć. Głowa pękała mu z bólu.

Wygrzebał z kieszeni fiolkę z nalewką z lucyferii i kapnął odrobinę na język. Smakowało ohydnie, ale prawie od razu poczuł się lepiej. Napił się wina z manierki, żeby splukać gorzyc stymulanta.

Pozbierał arkusze z odciskami dłoni i wrzucił je do ognia, szepcząc odpowiednie słowa. Skłonił się umarłym w geście podziękowania, oni zaś rozwiali się.

Ukląkł przy dziewczynie, rozciął więzy, potem odgarnął z jej twarzy mokre od potu włosy. Śmiertelnie blada, na policzku i górnej wardze miała zaschnięty ciemny zaciek – pozostałość krwotoku z nosa. Ale oddychała.

Dla pewności uniósł jej powiekę, żeby sprawdzić kolor oczu. Odetchnął z ulgą – wróciły do pierwotnej barwy.

Elja Klaas.

Pamiętał aż za dobrze, w którym momencie poznał jej imię.

Mimowolnie wrócił myślami do chwili, kiedy wypowiedział ostatni, najpotężniejszy egzorcyzm. Jaźń stwora zapłonęła jak pochodnia, a uwolniona Elja na kilka kluczowych sekund znalazła schronienie w umyśle Krzyczącego. Ogłupiała, siejąca emocjami i urywkami wspomnień, które człowiekowi przewijają się przez głowę, gdy sądzi, że umiera.

Przed oczami żmija na nowo zjawily się strzępki tego, co wtedy ujrzał. Chaty nad brzegiem morza, obdarte dzieciaki, kobiety naprawiające sieci – rybacką wioskę, w której dziewczyna się wychowała. W nędzy i głodzie; dotąd zresztą dawało się to

wyczytać z jej twarzy.

Leżała bez ruchu, nadal nie odzyskując przytomności. Trochę go to zaniepokoiło.

Na wszelki wypadek ujął ją za rękę, żeby sprawdzić puls. I zamarł, bo dopiero teraz spostrzegł tatuaż na jej nadgarstku.

Napuszczony siną farbą kwiat magnolii. Musiał być wcześniej zasłonięty iluzją, która rozwiała się w trakcie egzorcyzmów. Krzyczący najpierw zagapił się nań, potem zaczął się śmiać, bo nic innego mu nie pozostało.

Biedne, bezbronne dziewczątko. Agentka Białego Kwiatu – chalkiryjskiej organizacji przemytników i piratów, rywalizującej z Synami Tarantuli.

Toś się popisał, Brune.

W końcu żmij spoważniał. Pozostała mu do załatwienia jeszcze jedna rzecz. Korzystając z tego, że Elja była nieprzytomna, podwinął jej rękaw i zaczął szeptać formułę. Przynajmniej teraz nie miał już wyrzutów sumienia, że musi to zrobić.

W miarę jak recytował, po wewnętrznej stronie przedramienia dziewczyny otwierały się krwawiące skaleczenia, które po sekundzie zasklepiały się, przechodząc w czerwone linie blizn.

Skończywszy, usiadł z powrotem przy ogniu i czekał, aż panna Klaas odzyska przytomność.

Nie trwało to długo. Zakaszła i otworzyła oczy. Drgnęła; Krzyczący wyczuł strach, który na nią spłynął jak lodowata woda.

– Co... Co się stało...?

– To długa historia.

– Jesteś z Tarantuli – rzuciła drżącym głosem.

– Nie całkiem. Ale to i tak bez znaczenia.

Elja usiadła chwiejnie. Włosy znowu opadły jej na czoło.

– Głowa mnie boli – poskarżyła się.

– Nic dziwnego. Masz, napij się – podał jej manierkę. Dziewczyna zawahała się.
– To nie trucizna – uspokoił ją cierpko. – Wierz mi, nie mam żadnego interesu w tym, żeby cię teraz pozbawić życia.

– Co ze mną zrobisz?

– Po kolei. Obawiam się, że twoja ostatnia posada to przeszłość.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

– Moja ostatnia...?

– Hoogstraten – westchnął. – Mówię o Hoogstratenie.

Elja potarła czoło. Wyglądała fatalnie, co Krzyżącego nie dziwiło. Sam czuł się tak, jakby go przeżuto i wypluto.

W końcu wzięła od niego manierkę i pociągnęła łyk, tylko po to, żeby się malowniczo zakrztusić.

– Nie zrobię ci krzywdy, bez obaw – podjął żmij, gdy przestała kaszleć. – Co więcej, nie zamierzam cię tu zostawiać. Za godzinę czy dwie mogę cię zabrać portalem, gdziekolwiek zechcesz.

– Świetnie – powiedziała wolno Elja. – Gdzie tkwi haczyk?

– A jak sądzisz? *Ka-ira* nie pomagają za darmo.

Dziewczyna dopiero teraz spostrzegła podwinięty rękaw oraz blizny na przedramieniu, układające się w znaki pisma magów. Rozszerzonymi oczami wpatrzyła się w żmija, a ten skinął głową.

– Masz wobec mnie dług, Eljo Klaas. W swoim czasie upomnę się o zwrot.

Autorka zaprasza na blog: <http://halas-agn.blogspot.com>

Znajdziecie tam miniartykuły z dziedziny magii, alchemii i historii medycyny, zdjęcia przyrody i zabytków, wiersze oraz inne ciekawe rzeczy.

Oficyna wydawnicza **RW2010**

Na każdą kieszeń
na każdy czytnik



Dobre ebooki
w dobrej cenie

szukaj na
www.rw2010.pl
lub w e-księgarniach

RW2010

REWOLUCJA WYDAWNICZA!